

ALICE BASSO



Przełożył z włoskiego: Tomasz Kwiecień



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Scrivere è un mestiere pericoloso

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Garbowska
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt i grafika na okładce: © Krzysztof Rychter
DTP: Maciej Grycz

Scrivere è un mestiere pericoloso © 2016 by Alice Basso,
Published by arrangement with The Italian Literary Agency
and Graal Literary Agency.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzednie-
go uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-66967-40-3



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

PROLOG

Dowiedziałam się, że ciężar właściwy papieru wynosi około $10\,000\text{ N/m}^3$.

Trochę więcej niż popiół i wosk pszczeli. Nieco mniej niż mleko, znacznie mniej niż sól czy talk. Mniej więcej tyle co lód. Trochę więcej niż toluen, czymkolwiek to coś jest (Wikipedia mówi, że to węglowodór aromatyczny, więc chyba rzeczywiście nie może być aż tak ciężki).

Wygląda na to, że właściwie – właściwie – papier jest stosunkowo lekki.

A teraz powiedzcie mi, czy to nie są jakieś bzdury.

Wszyscy zgadzamy się już z Einsteinem, że czas jest względny, i powtarzamy bon mocik: „Posiedź godzinę z ładną dziewczyną, a będzie ci się wydawało, że to minuta. Posiedź minutę na fajerkach piecyka, a będzie ci się wydawało, że to godzina”. Przyzwyczailiśmy się do rozprawiania na temat subiektywności postrzegania czasu. Ale co powiedzieć o subiektywności postrzegania ciężaru? Przeprowadzka: wynosiliście kiedyś pudło z książkami z akademika,

do którego już nigdy nie wrócicie? Egzamin: przestudiowaliście kiedykolwiek pięćset sześćdziesiąt stron *Wielkiego podręcznika historii międzynarodowej dyplomacji od początku epoki nowożytnej do końca zimnej wojny*? Korespondencja: zabraliście kiedyś z poduszki osiemdziesiąt gramów listu pożegnального? Papier waży. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek miał z nim do czynienia. Kwestia ciężaru właściwego może odnosić się także do papieru czystego i niezapisanego, ale rzecz w tym, że papier ma tę jedyną w swoim rodzaju cechę, jakąś chemiczno-emocjonalną reaktywność, że gdy tylko coś na nim napiszemy, jego ciężar się zmienia, i tak czterysta dziewięćdziesiąt stron *Chartów Morrigan* Pata O'Shea staje się pękiem stokrotek, a sto trzydzieści stron *Myszy i ludzi* Steinbecka głazem, który nie pozwala ci stanąć na nogi przez pół dnia po tym, jak skończyłeś.

Papier waży.

Tak myślę, patrząc na swoją biblioteczkę, jakbym widziała ją po raz pierwszy, i nie mogę pojąć, jak to możliwe, że jeszcze nie zapadła się z trzaskiem.

Podchodzę do drabiny i wspinam się na ostatni stopień.

Problem jest poważniejszy, niż myślałam. Półki są tak przeładowane, że częściowo odcepiły się od tylnej ściany: szczelina ma już dobrze ponad centymetr. Płyty CD trzymam na samej górze. Piętrzą się w trzech rzędach jeden za drugim, bo miejsca na niższych półkach zajmują książki – ścisłają się na baczność w dwóch rzędach przygniatanych dodatkową poprzeczną warstwą. Jeśli ich ułożeniu towarzyszyła kiedyś jakaś logika, to zatraciła się dawno temu. Potrzebuję większej biblioteczki. Potrzebuję większego mieszkania.

Potrzebuję wyższej pensji. No okej, to ostatnie właśnie udało mi się wydobyć od szefa, ale co z tego: z osobistego punktu widzenia ja zawsze potrzebuję wyższej pensji. A to, co mnie teraz spotyka, dzieje się chyba już po raz dziesiąty: próbuję wyciągnąć płytę, popycham ją bezwiednie w tył regału, a ta suka ześlizguje się przez durną szczelinę, by utknąć za książkami na półce poniżej.

Macam dłonią za tomiszczami.

Powinnam w końcu odkurzyć. Zdaje się, że mówię to sobie od 2006 roku.

Pod palcami o pomalowanych na fioletowo paznokciach nie wyczuwam śladu opakowania płyty. Do bani. Będę musiała wyciągnąć książki, żeby ją wygrzebać.

Zaczynam od złożenia na biurku małego zestawu klasyków: *Pustelnia parmeńska*, *Wilk stepowy*, *Idiota*. Patrzenie, kogo tu mamy. Efekt magdalenki: przez chwilę znów mam piętnaście lat, jest poniedziałek rano, a ja idę do szkoły, po tym jak nie spałam całą noc, żeby skończyć lekturę. Boże, tamten dzień, tamten gówniany nastrój. Ale może pamięć mnie zawodzi, bo właściwie nie jestem pewna, czy spędziłam choć minutę mojego piętnastego roku życia bez tego gównianego nastroju.

Jakby teraz było inaczej.

Ciężar właściwy *Idioty*: 1000 N/m³. Za słowo.

Na starym Fiodorze łąduje *Historia wojskowa w dwudziestu ruchach*, Wydawnictwo Erika, Turyn 2006. Emerytowany oficer armii włoskiej, pragnąc naśladować Sun Zi i von Clausewitza, opowiada o dwudziestu największych bitwach historii z perspektywy taktyki, strategii i ewolucji wojennego instrumentarium. Formacja testudo pod Wejami, zaskoczenie pod Askalonem, miotacze płomieni pod Verdun.

Fajne, prawda? Ależ oczywiście, tyle że na papierze. (W nawiasie: kto, do cholery, ukuł to wyrażenie „na papierze”, aby oznaczało: w teorii, na poziomie projektu, w zamiarach? To absurdalne. Jakby tylko takie rzeczy mogły się znaleźć na papierze: teoria, projekt, zamiar. No proszę was! Przeżyłam więcej przygód rozpoczętych i zakończonych w książkach niż w prawdziwym życiu. Jeśli już, to prawdziwe życie wciąż unosi się w powietrzu i tylko raz na jakiś eon gdzieś ląduje. To właśnie w tym „prawdziwym” życiu osnowa i wątek najczęściej pozostawiają wiele do życzenia: w książkach, przynajmniej tych dobrych, wszystko ma swoje zwieńczenie i sens. Jakaż to ulga. Ale wróćmy do rzeczy). W teorii więc tak: projekt *Historia wojskowa w dwudziestu ruchach* też byłby fajny. W praktyce wyglądało to następująco. Faza pierwsza: kiepsko opłacana ghostwriterka przewija dwanaście godzin taśm nagranych przez zgrzybiałego militarystę, który powinien używać więcej kleju do protez oraz marnuje połowę czasu na opiewanie kultury koszarowej. Faza druga: kiepsko opłacana ghostwriterka próbuje wejść do głowy zgrzybiałego militarysty, tak jak to robi z każdym autorem, dla którego pracuje, czyli stara się napisać mu książkę w stylu odzwierciedlającym jego osobowość i odkrywa, że w jego głowie jest przestronnie i wygodnie, ponieważ pomijając militarystyczne tyrady, jest ona całkowicie pusta. Faza trzecia: kiepsko opłacana ghostwriterka spędza dwa tygodnie w bibliotekach i internecie, próbując zgromadzić specjalistyczną wiedzę potrzebną do uzupełnienia gawęd tej wyleniającej sowy i nadania książce minimum merytorycznej godności, której brakuje jej oficjalnemu autorowi. Wiem to, bo ja jestem tą kiepsko opłacaną ghostwriterką. Nawiasem mówiąc, wszystko to działo się w 2006 roku, teraz jest prawie dziesięć lat

później, a ja nadal jestem kiepsko opłacaną ghostwriterką. Przynajmniej w moim odczuciu.

Odczuwany ciężar właściwy *Historii wojskowej w dwudziestu ruchach*: 111 000 N/m³. Tyle co ołów.

Odczuwany ciężar gatunkowy zawodu ghostwritera: czasami nawet 1 000 000 N/m³.

Zdejmuję kieszonkowe wydanie Elmore'a Leonarda. (Ciężar właściwy: trochę więcej niż Lansdale, trochę mniej niż Ellroy).

Jeszcze jedno kieszonkowe wydanie, tym razem Lansdale.

Ręka do kwiatów. Mały poradnik ogrodnictwa na małych miejskich balkonach, który napisałam dla pewnego botanika w 2011 roku. (1500 N/m³, jak drewno balsy: tak lekkie, że nie wiadomo, co z nim zrobić). Od tego czasu na papierze (ha, ha, ha) powinnam się nauczyć do perfekcji nawet tego, jak wyhodować baobab w salonie. W praktyce jedyną rzeczą, jakiej kiedykolwiek pozwoliłam rosnąć w moim domu, są sterty brudnego prania i nieco organizmów symbiotycznych w lodówce.

Menu restauracji chińskiej Jedwabny Smok, dostawa do domu, również w niedziele. A więc tu się zawieruszyło. Zostawię na wierzchu, może się przydać.

Pollyanna. Serio? Badać ją jak obcy artefakt. Czy ja naprawdę mam w bibliotece egzemplarz *Pollyanny*? Jezu. Najbardziej mnie zadziwia, że teraz, kiedy go trzymam, nie dezintegruje się jak po zetknięciu z antymaterią. Ach, oczywiście, już pamiętam. Musiałam go zdobyć do dokumentacji, kiedy miałam zredagować ten koszmarny pamiętnik prezensterki. Rok 2010: słynna gospodyni programu rozrywkowego dokonuje zwrotu w życiu, które najwyraźniej od lat było trwaniem w niezauważalnym na zewnątrz niezadowoleniu,

i czuje się powołana do napisania (czytaj: do zlecenia tego zgadnijcie komu) książki o mocy pozytywnego myślenia. Tytuł wzruszającej opowieści-wyznania: *Pollyanna 2000. Jak gra o szczęście uratowała mi życie* (Wydawnictwo Erica, Turyn 2011). Kiepsko opłacana ghostwriterka otrzymuje pakiet nieskoordynowanych notatek mających posłużyć za podstawowy konspekt, a z niego dowiaduje się, że prezenterka swoje odrodzenie przypisuje pozytywnej energii, którą nauczyła się kierować w codziennym życiu. „Sekret tkwi w zakochiwaniu się każdego dnia na nowo w swojej pracy, rodzinie, małych rzeczach, które kiedyś uważałeś za oczywiste, a przede wszystkim w sobie”, prorokuje oświecona. Kiepsko opłacana ghostwriterka czyta, a raczej odszyfrowuje wspomniane notatki i odkrywa, że egzaltowana bodhisattwa faktycznie na nowo zakochała się w swojej pracy – po tym, jak znajomy producent załatwił jej program uszyty na miarę; że na nowo zakochała się we własnej rodzinie – po spotkaniu z młodym przystojnym aktorem, dla którego w końcu odważyła się odejść od męża; że na nowo pokochała małe rzeczy w życiu – do których w jej przypadku należy między innymi wypicie pierwszej kawy na ogromnym tarasie swojego rzymskiego apartamentu czy od czasu do czasu skorzystanie z luksusowej nagrody w postaci klejnotu lub egzotycznej wycieczki. Jeśli chodzi o ponowne zakochanie się w sobie, nie ma potrzeby wertowania notatek: na tylnej okładkę wybrano fotografię, na której autorka wygląda olśniewająco, co z pewnością zawdzięcza na nowo odnalezionemu szczęściu, ale także poważnemu liftingowi twarzy i liposukcji wykonanych przez innego drogiego przyjaciela, chirurga estetycznego. Proszę o rozmowę Enrica, mojego szefa, naczelnego. Nie mogę rozmawiać z prezenterką, bo on nie lubi, gdy mam

bezpośredni kontakt z autorami, ale z nim oczywiście mogę. Zwracam mu uwagę, że zmusza mnie do napisania kpiny z ludzi. Nie żebym nie miała tego głęboko gdzieś, bo i tak mi płaci, ale niech potem nie przychodzi i nie mówi mi, że go nie ostrzegałam. Enrico stwierdza, że musi się nad tym zastanowić, i rzeczywiście zastanawia się przez dziesięć sekund, po czym decyduje, że potrzeba identyfikacji i nadziei przeciętnego czytelnika jest mniej ważna niż to, że autorka szpikuje książkę nazwiskami sławnych ludzi i przyjaciół ze śmietanki towarzyskiej. Książka wychodzi. Żal.

Ciężar właściwy *Pollyanny 2000*: prawie 187 000 N/m³, tyle samo co uranu, i jeśli chcecie znać moje zdanie, jest równie niebezpieczna.

Gdyby choć dobrze mi zapłacono.

Carmilla. Miałam chłopaka, który nazywał mnie właśnie imieniem tytułowej bohaterki powieści gotyckiej. Nie udało się. Znaczy z chłopakiem, bo Carmilla doskonale do mnie pasowała. Zanim pojawiła się Lisbeth Salander, ma się rozumieć.

Peanuts. Zbiór, w którym Snoopy pisze.

Exemplarz wydania kolekcjonerskiego powieści *Prostsza od gitarowej struny*. Nie chcę o tym mówić.

Wydaje mi się, że w końcu dostrzegam róg mojej płyty, zagłębiony za półką i dwiema pozostałymi książkami.

Zdejmuję jeszcze wydanie Giorgia Scerbanenki. *Mediolanńczycy zabijają w soboty*. Ach, mój nowy przyjaciel, inspektor Berganza, byłby ze mnie dumny. Uwielbia powieści kryminalne, uwielbia Scerbanenkę czy Fruttera i Lucentiniego, książki osadzone w wyrafinowanym środowisku przedstawicieli wyższych sfer, rysowane zbyt grubą kreską, trące staromodnością i nieprawdopodobieństwem, a jednak, dzięki

magicznemu przymierzu, jakie zawiązuje się między odważnym pisarzem a równie odważnym czytelnikiem, człowiek jest im skłonny wierzyć. „Mediolańczycy zabijają w soboty”, bo w inne dni pracują. A turyńscy? Nie wiem. Możemy znaleźć czas na morderstwo nawet w dzień powszedni, jak sądzę, ponieważ jemy kolację wcześniej i nie mamy w zwyczaju celebrować aperitifów.

Uśmiecham się do siebie.

Oto i płyta. Za ostatnią z książek: *Kobietą na niedzielę*, jak na zawołanie. Płyta to *Synchronicity* zespołu The Police.

Z zadowoleniem wrzucam ją do odtwarzacza, zaczynając od ostatniego utworu, *Murder by Numbers*, bo mam taką ochotę.

*Because murder is like anything you take to
It's a habit-forming need for more and more.
You can bump off every member of your family
And anybody else you find a bore.*

Doskonała, myślę, układając książki z powrotem – to znaczy wrzucając je na półkę w przypadkowej kolejności, innej niż poprzednio. Doskonała dla mnie i doskonała na dziś. The Police będzie symbolicznie idealną ścieżką dźwiękową mojego dnia.

Bo od dzisiaj jestem oficjalnie współpracownicą policji.

1

HELIKOPTER W OGNIU

Unosi się nade mną twarz mężczyzny. Jego ogromne dłonie przygniatają mnie do ziemi, nie napotykając żadnego oporu. Nie, nie dlatego, że go nie stawiam, wręcz przeciwnie. Po nim nie widać cienia wysiłku, za to mnie brakuje tchu, a pot zalewa mi oczy. Nie na tyle jednak, bym nie widziała jego twarzy. Nawet tego mi nie oszczędzono.

Wpatruje się we mnie z sadystyczną determinacją, po czym szczerzy się, zadowolony, że jestem kompletnie bezbronna.

I właśnie w tym momencie uznaję, że mam już dość.

– Okej, dobrze się bawiliśmy, dzięki, ale muszę już iść do pracy – mamroczę. Próbuję się wydostać z uścisku, lecz instruktor aikido przytrzymuje mnie jedną ręką. Ten to ma siłę. Gość jest jak pętlwal błękitny. Nie mam nawet pewności, czy techniki, których próbuje mnie nauczyć, są skuteczne: kiedy facet przypominający górę Uluru przyciska cię do ziemi, to

oczywiście że padasz i na nic ci się zdaje cała filozofia na temat braku równowagi ośrodków i inne bzdury spod znaku zen.

Spoglądam na sufit, z którego zwisają gołe żarówki. Ta siłownia to jeden wielki syf. Ze ścian wystają nieotynkowane betonowe kolumny. Podłogę pokrywa bladoniebieskie linoleum, bardziej zmarnowane niż niedobitki wracające z rosyjskiego frontu. No, z wyjątkiem części, w której się znajduję: bo tutaj dla odmiany mamy tatami, choć równie zużyte i brudne jak linoleum. Pragnienie, by zaraz, natychmiast znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie tu, jest nie do opisania.

– Serio. Muszę iść. Naczelnny czeka na mnie w wydawnictwie.

Nie żeby mnie specjalnie obchodziło, że Enrico musi czekać. Mówię to ze względu na siebie. No ale skoro nie ma sensu negocjować z przygłupim bratem Hulka, zwracam się teraz do sylwetki, która spokojnie przygląda się nam spod drzwi siłowni.

– Do końca treningu pozostał jeszcze kwadrans – odpowiada z serafickim spokojem sylwetka, czyli komisarz Berganza.

– Właśnie. Dokładnie tyle czasu zajmie mi umycie się i ubranie, żebym mogła pokazać się naczelnemu i nie wyglądać jak troglodyta. – Rzucam wymowne spojrzenie na instruktora, żeby dać mu do zrozumienia, że to on jest troglodytą. Nie dociera do niego. Za to do mnie dociera kolejne przygniecenie do ziemi.

– Dobrze pani wie, co myślę.

Berganza, jak zawsze okutany w swój kultowy beżowy prochowiec, wydmuchuje kłęb dymu z kącika ust. Najzabawniejsze, że tuż za nim, na ścianie w korytarzu, wisi napis NIE

PALIĆ. Wygląda na to, że komisarz otrzymuje specjalne pozwolenie na zapalenie papierosa w każdym pomieszczeniu, w którym się znajdzie. Może to jego postawa, a może to, że przypomina Humphreya Bogarta, Roberta De Niro i Dicka Tracy'ego. Razem wziętych. Kto powstrzymałby razem wziętych Humphreya Bogarta, Roberta De Niro i Dicka Tracy'ego przed zapaleniem papierosa?

Berganza wzrusza ramionami.

– Skoro jest pani konsultantką policji, może się pani zdarzyć udział w jakiejś niebezpiecznej akcji. Mam obowiązek zadbać o to, że będzie pani umiała się obronić. Już to zresztą tłumaczyłem. Nie mogę pozwolić, żeby towarzyszyła mi pani w niebezpiecznym otoczeniu i pozostawała całkowicie bezbronna. Byłoby to ryzyko dla pani i przeszkoda dla mnie i moich ludzi, którzy musieliby dodatkowo panią niańczyć. Oczywiście gdyby umiała pani strzelać, rozwiązaniem byłoby pozwolenie na broń, no ale w obecnej sytuacji dopilnowanie, by wzięła pani udział przynajmniej w kursie technik samoobrony, to minimum, do którego jestem zobowiązany.

– Wiem – mówię. Oczywiście, że wiem. Tę śpiewkę powtarza mi za każdym razem, kiedy przychodzi sprawdzić, czy pojawiłam się na zajęciach aikido, co dzieje się w zasadzie zawsze, kiedy mam zajęcia aikido.

Ma rację, że mi nie ufa. Bo ja nienawidzę aikido. Gdybym nie wiedziała, że Berganza mnie pilnuje, nie poszłabym tam za nic w świecie. Wybrałam akurat tę dyscyplinę, ponieważ wydała mi się najmniej zła ze wszystkich złych, które znalazłam w ofercie zakontraktowanej przez policję siłowni, a także dlatego, że godziny zajęć były najdogodniejsze. Ale nienawidzę aikido, i to z wielu powodów. Przede wszystkim nienawidzę go, ponieważ jest to sztuka walki dla

mięczaków: wszystko o wykorzystywaniu siły przeciwnika, filozofia właściwego zwycięstwa i tak dalej. Fałsz, nuda i obłuda. W praktyce jednak nienawidzę go dokładnie z przeciwnego powodu, a mianowicie dlatego, że jest zbyt brutalne. Zbyt brutalne moim kosztem. „Zanim nauczysz się atakować, musisz nauczyć się upadać”, powiedział mi na pierwszym treningu przypisany do mnie Goliat: od tamtej pory bez przerwy leżę. Wygląda na to, że ten sfrustrowany kolos uważa, że odciskanie kształtu mojego kręgosłupa na tatami przez trzy pełne godziny w tygodniu jest niezbędne dla utrzymania poczucia własnej wartości. Jego poczucia, ma się rozumieć.

Ale najbardziej wkurza mnie ta cała sprawa ze strzelaniem.

No bo tak.

Mam trzydzieści cztery lata. Od prawie dwudziestu ubieram się tak, jakbym w pożarze mieszkania straciła wszystko z wyjątkiem kostiumów na Halloween. Noszę taki makijaż, że nawet Theda Bara w roli Kleopatry uznałaby go za niepokojący. Czeszę się jak mokry sen punka (albo prościej, jak ktoś, kto sam sobie ścina włosy w łazience). Nawet teraz, kiedy leżę spocona na tatami, mam na sobie czarne legginsy, czarną koszulkę z logiem The Clash i również czarną opaskę frotté, mającą trzymać włosy z dala od oczu. Włosy akurat są blond, ponieważ Matka Natura jest zapracowaną panią i czasami coś jej się wymknie spod kontroli. Ale proszę bardzo: jestem kimś, kto ubiera się na czarno, nosi łańcuchy i ścina sobie włosy przed lustrem. Mam wdzięk górnika i język skazanego na dożywocie. Mówiąc skromnie, jestem najmniej figlarną i afektowaną istotą spośród wszystkich ludzi, jakich znam. Wszystko po to, by powiedzieć, że byłabym naturalną kandydatką do tego, by, kurde, umieć strzelać. Gdyby świat był sprawiedliwy, gdyby wszystko działało się tak jak

w książkach, byłabym kimś, kto bierze do ręki pistolet i znikąd, bez najmniejszego wysiłku pakuje serię pocisków w sam środek tarczy, po czym opuszcza broń – z której wydobywa się artystyczny kłęb dymu – i mówi, wzruszając ramionami: „No co? Luzik”. Tak być powinno.

A tymczasem, gdy po raz pierwszy poszłam na strzelnicę w Turynie, strzelałam w powietrze. Tak po prostu, jak debiutantka. Drugi strzał, pod okiem Berganzy, poszedł nieco lepiej – na tyle lepiej, że rozbudził duże nadzieje. Źle ulokowane. Od tamtej pory cztery razy wracałam na strzelnicę. Mam za sobą cztery godziny treningu. Bezużyteczne. Zmarnowany czas. Ja, której wystarczą cztery godziny, by przeczytać potrzebny mi do pracy podręcznik praktycznie czegokolwiek i nauczyć się z niego wystarczająco wiele, by udawać ekspertkę w danej dziedzinie. Ja, która w cztery godziny piszę rozdział powieści, dwa rozdziały eseju technicznego lub całe przemówienie wyborcze (no, te właściwie nic nie zajmują. Mogę je machnąć jedną ręką, podczas gdy drugą wyławiam z torby chipsy z serem). W cztery godziny mogę zrobić wiele rzeczy, najwyraźniej z wyjątkiem nauczania się sztuki strzelania. „Vani Sarca, ma pani dostać broń, żeby się bronić, a nie zagrażać nam wszystkim”. To były słowa Berganzy, gdy kolejna moja kula utkwiała w ścianie. Mam cela do dupy, koniec dyskusji. No więc nie ma pozwolenia na broń.

Ale najwyraźniej muszę nauczyć się dowolnej formy samoobrony – nie wiem, czy jakiś regulamin to sankcjonuje, czy Berganza nalega na to przez osobistą skrupulatność – i tak oto jestem w obrzydliwy poniedziałkowy poranek tutaj, w zapuszczonej siłowni, do której chodzą trenować wszyscy funkcjonariusze z jego komisariatu, a moje spocone plecy są wprasowane w obskurne tatami. Inaczej mówiąc: jestem

tu dziś, powoli umierając na uraz kręgosłupa i nieuchronną sepsę, po to, by nauczyć się, jak nie zginąć jutro.

To nie ma żadnego sensu.

– Dobra, wystarczy, mówiłam, że muszę iść do pracy – wyrokuję.

– Słyszałaś szefa, zostało jeszcze piętnaście minut – protestuje instruktor.

Oboje zwracamy się do Berganzy, który wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Załatwcie to między sobą”, i zaciąga się papierosem. Jeśli w ogóle go znam – a wydaje mi się, że trochę tak, mimo że przedstawiono nas sobie dopiero kilka tygodni temu – to ma niezły ubaw.

– Szef powiedział... – próbuje nalegać Mister Proper, nadal stojący nade mną z szeroko rozstawionymi nogami, gotowy przycisnąć mnie na nowo.

– Och, ale dajmy już spokój! – wybucham. Krzyżuję ręce. Kaszalot patrzy na mnie z góry. Mało która postawa jest tak alienująca jak ta, w której przygnieciona do ziemi laska z anielskim spokojem krzyżuje ręce na piersiach, jakby jej tam było arcywygodnie. – Proszę już nie udawać, że tak bardzo zależy panu na tych głupich zajęciach. Ma pan w pompce aikido, spójrzmy prawdzie w oczy. Zależy panu tylko na tym, by móc pod maską autorytetu stosować przemoc wobec osobnika płci żeńskiej, który poddając się pańskim rozkazom, ma służyć zaspokojeniu pańskiego pragnienia uznania.

Z jego miny wynika, że zgubił się przy „spójrzmy prawdzie w oczy”.

Będę musiała być bardziej szczegółowa.

– Niech pan na siebie spojrzysz – mówię. – Jest pan napompowany jak kulturysta i uczesany jak żołnierz piechoty morskiej. Cała ta orientalna zabawa powinna dotyczyć

poszukiwania równowagi, skupienia, samopoznania; a pan prowadzi trening poprzez fizyczne poniżanie i obezwładnianie i wygląda jak jeden z tych sadystycznych sierżantów z filmów wojennych. Aikido pasuje do pana tak samo jak feng shui do mnie. Nie mogę sobie wytłumaczyć, co pana motywuje, żeby się tym zajmować. A w zasadzie to mogę: założę się, że ktoś pana do tego zmusił. – Mrużę oczy. – Może dziewczyna albo któreś z rodziców. Hmm. Biorąc pod uwagę, że ciągle pan powtarza „słyszałaś szefa”, „szef powiedział” i ma pan fizja na punkcie władzy i hierarchii, obstawiam rodzica. A ponieważ jestem kobietą, a pan nie wydaje się tak bardzo nękać męskich bywalców siłowni, powiedziałabym, że to pana matka.

Spojrzenie goryla stało się wyrazistsze. Cień oszołomienia nadaje mu pewien humanoidalny rys.

– Niech pomyślę. Urodził się pan gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, prawda? – kontynuuję, wciąż wygodnie leżąc na podłodze, wciąż z założonymi rękami, wpatrując się w niego klinicznym wzrokiem. Zaczyna to wyglądać jak sesja psychoanalizy *à rebours*, ze świrolóżką leżącą na ziemi. – Pokolenie potomków dzieci kwiatów. Pańska matka była dziewczynką, a potem młodą kobietą w szczytowym okresie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Musiała chłonąć całą kulturę tamtej epoki jak gąbka. Może była hipiską, interesowała się ekologią, alternatywnymi źródłami informacji, Ravim Shankarem i filozofiami Wschodu. Czy tak? Niech mi pan przerwie, jeśli się mylę. – Nie robi tego. – A więc w takim domowym klimacie musiał się pan wychowywać. Tyle że... – Pozwalam, by prowadziła mnie intuicja. – Ach, oczywiście. Nastąpił niespodziewany zwrot w kulturze: kiedy był pan dzieckiem, nastąpiły lata